

Giacomo Losi, dawny symbol Romy, 386 występów w tych samych barwach. Rekordzista do czasu, gdy pokonał do obecny kapitan, Francesco Totti. W ramach lekcji historii wywiad, jakiego udzielił dla „Periscopio” 10 czerwca 2009. Pochodzący z Soncino piłkarz opowiedział w nim o swojej miłości do stolicy i piłki nożnej, ale także od rozczarowaniach i tryumfach, nie unikając tak bolesnych tematów jak doping i kryzys ekonomiczny.

W dzisiejszej, nowoczesnej piłce, graczy-symboli jest coraz mniej. Jak można powstrzymać ten proces?

GL: Niewielu jest graczy, którzy zostają wierni swojej drużynie i kończą swoją karierę w jednych barwach. Dziś bardzo zwraca się uwagę na zarobki. Agenci są zainteresowani tym, żeby ich podopieczni kilkakrotnie zmieniali zespół.

A jakie były Pana relacje z kibicami Romy i z miastem?

GL: Moje relacje z kibicami „La Magica” są wspaniałe. Zakończyłem karierę wiele lat temu (w 1969), ale do tej pory wiele osób zatrzymuje mnie na ulicy, żeby uściskać mi rękę. Także kibice Lazio tak robią, mówiąc, że byłem wzorowym piłkarzem i jedynym graczem Romy, którego jej zazdrościli. Dla mnie to piękne emocje i żyję nimi nawet dzisiaj.

W tym mieście, po dwóch latach od przyjazdu, poznałem moją żonę. Założyłem rodzinę i przywiązałem się do Rzymu. Kiedy przyjechałem do stolicy, bardzo się obawiałem, ale z drugiej strony czułem też odwagę. Przyjechałem z zupełnie innego świata. Trudno było przenieść się do tak wielkiego miasta. Rzym, dla kogoś mieszkającego na północy, był marzeniem. Już możliwość zwiedzenia miasta była czymś wyjątkowym. A co dopiero możliwość zagrania dla tej drużyny. Pierwsze miesiące, kiedy mieszkałem w pensjonacie przy ulicy Quintino Sella, przechodziłem obok ministerstwa finansów i chodziłem na stację kolejową, żeby popatrzeć na odjeżdżające pociągi. Bardzo tęskniłem za domem, ale po 4-5 miesiącach poznałem wspaniałego przyjaciela, a potem się zaręczyłem. Zwiedzałem piękne zabytki miasta, robiłem za przewodnika dla znajomych, którzy przyjeżdżali do mnie z moich stron. Byłem bardzo nieśmiały poza boiskiem. Przed podpisaniem kontraktu z Romą, nie zapytałem nawet, do jakiej drużyny zostałem sprzedany. Przyjechałem do Bolonii i myślałem, że sprzedano mnie właśnie drużynie z tego miasta. Nie myślałem, że chodzi o Romę. Byłem kibicem wielkiego Torino. Ale pojawił się manager Carpi i na stacji podpisaliśmy kontrakt.

Myśli Pan, że pasja kibiców się zmieniła w tych czasach kryzysu ekonomicznego?

GL: Dzisiaj jest w tym wszystkim za dużo przesady. Wcześniej także głęboko kochało się Romę, ale wszystko kończyło się po meczu. W barze mogło dojść do jakichś przepychanek między fanami Romy i Lazio, ale na tym wszystko się kończyło. Nie było tej presji ze strony prasy i prywatnych stacji radiowych. Wszystko ograniczało się do rubryki piłkarskiej w największych dziennikach sportowych. Wcześniej drużyny piłkarskie utrzymywały się z dochodów z biletów oraz z zasobów prezesów. Z niczego więcej. Teraz potrzebna jest cała organizacja stojąca za klubem. Ja byłem zmuszony do przeprowadzenia sławetnej zbiórki w teatrze Sistina,

ponieważ byłem kapitanem zespołu. Tylko dwóch czy trzech graczy było z tego zwolnionych (wśród nich Manfredini). W piątkę czy szóstkę wyszliśmy na scenę w Sistine, potem jeden z nas zdjął czapkę, zaczynając zbiórkę wśród publiczności. W teatrze wszystko było już przygotowane. Była nawet telewizja gotowa do kręcenia. Niektórzy byli już gotowi do wkroczenia na scenę i zajęcia miejsca prezesa Francesco Marini-Bettiny. On był jednym z niewielu prezesów, który marnował pieniądze z własnej kieszeni na różnych Sormanich i Schnellingerów. W czasie tamtej zbiórki zebrano prawie 600 tysięcy lirów. My, piłkarze, odstąpiliśmy je ofiarom katastrofy w Vajont. Zebrane pieniądze nie wystarczyłyby nawet na zapłacenie połowy pensji dla jednego gracza. A my od 5 czy 6 miesięcy czekaliśmy na nasze wypłaty i graliśmy mimo wszystko. Sami zapłaciliśmy za wyjazd do Vinceny. Zbiórka w Sistine to była farsa. To było przedstawienie, które miało zruinować wizerunek Romy i Rzymu, który przeszkadzał wielu ludziom. Po tym epizodzie byliśmy wysmiewani. W Genui rzucono nam monety na boisko. W tym roku wygraliśmy Puchar Włoch. *La colletta del Sistine* to było dramatyczne wydarzenie. Ja brałem w tym udział. A może należało mi się choć trochę uznania ze strony klubu.

Pana kariera w Romie była naznaczona wielką wiernością tym barwom. Dlaczego?

GL: Roma była dla mnie drugim domem. Mogę ją porównać niemal do mojej rodziny i chętnie pozostałbym w niej na zawsze. Taki był mój plan, także gdy proszono mnie o przeniesienie się do innych ekip. Zwłaszcza w moim najlepszym okresie, od 1959 do 1962, byłem jednym z najlepszych obrońców we Włoszech i wiele zespołów złożyło mi propozycje. Najpierw myślałem o tym, żeby wygrać coś z Romą. Niestety przez 15 lat wygrałem tylko jeden Puchar Miast Targowych i dwa puchary Włoch. Do sezonu 1963-64 Roma miała zawsze wielki skład, ale na koniec sezonu byliśmy na dziewiątym, piątym czy dziesiątym miejscu. Wielkie wygrane z Milanem, Interem i Juventusem, a potem porażki ze Spal, Brescią czy Fiorentiną. Pierwszy Puchar Włoch był wielkim sukcesem. Podobnie jak Puchar Miast Targowych.

Koniec Pana kariery zbiegł się z objęciem zespołu przez „maga” Herrere. Wyjaśni nam Pan, jak to się stało?

GL: Helenio Herrera miał swoje przekonania, a ja zawsze je akceptowałem. Kiedy jednak chciał nam narzucić pewne rzeczy, ja starałem się, jako kapitan i po 15 latach w Romie, odpowiedzieć, bądź poprosić o wyjaśnienie. Analizy taktyczne. Tutaj zaczęły się spory. Powody pozapiłkarskie popchnęły Herrere do wykluczenia mnie. W ostatnich 8 meczach ligowych, które rozegrałem, zdaniem wszystkich gazet byłem najlepszy na boisku. Miałem więc 33 lata i byłem w idealnej formie. Mogłem grać przez kolejne sezony. Ale zarząd nie ruszył palcem po moim pożegnaniu z Romą. Zadzwonili do mnie tylko, żeby mi powiedzieć, że dają mi gratis kartę. Nie przyjąłem już ofert innej drużyny, bo byłem bardzo rozczarowany. Zdecydowałem się zostać trenerem. Roma wysłała mi nawet list, w którym zapowiadała, że zamierza dla mnie zorganizować wielkie święto. Do tej pory czekam...

Pana doświadczenie w reprezentacji?

GL: Bardzo mało grałem w kadrze Włoch. Przez dwa lata byłem graczem wyjściowego składu. Zagrałem w 11 spotkaniach. Wtedy grało się co 4 miesiące. Na mistrzostwach świata 1962 zagrałem w dwóch spotkaniach. Z Chile na moje miejsce wszedł David. To był najważniejszy mecz i brak doświadczenia niektórych graczy okazał się decydujący. Mieliśmy kadrę złożoną z 22 wielkich piłkarzy. Wygraliśmy z Czechosłowacją przed mundialem 3-0. Przeciw drużynie, które potem zagrała w finale z Brazylią.

Jak ocenia Pan włoską piłkę oraz wychowanków w porównaniu do innych krajów?

GL: Wychowankowie powinni być lepiej wykorzystywani. Mamy naturalne, wyjątkowe talenty. Od dłuższego czasu obserwuję młodych graczy. Problem pojawia się, kiedy dorastają. W wieku 10-12 lat są fenomenalni. Trudno powiedzieć, co się dzieje potem. Może zbyt dużo presji. Rodzice, krewni, pieniądze, pragnienie szybkiego dorównania największym piłkarzom. Potrzeba chyba więcej pokory, więcej konkretnego podejścia. I więcej miłości do piłki.

Doping i SLA (swardnienie boczne zanikowe) to fatalne połączenie dla wielu współczesnych graczy. Wcześniej też stosowało się zabronione substancje?

GL: Byłem poddawany kontrolom antydopingowym od sezonu 1958-59. Może ktoś brał jakieś pigułki, ale ja nie wiedziałem, czy był doping, witaminy. Wcześniej zdarzało się, że ktoś zażywał jakieś substancje, które mogły mieć nawet odwrotny do zamierzonego efekt. Pewien trener przyjechał do Rzymu i przed treningiem zaproponował mi zażycie witamin, ale ja zawsze odmawiałem. Myślę, że na dłuższą metę osoby, które nie potrafią odstawić pewnych substancji, ryzykują poważne choroby. Dochodzimy do przesady, a to błąd. Zażywanie jakichś substancji nie gwarantuje zagrania wielkiego meczu. Możesz zagrać wielki mecz, jeśli jesteś przygotowany, jeśli trenujesz, poświęcasz się, prowadzisz zdrowy tryb życia.

Żałuje Pan czegoś w swojej karierze piłkarskiej czy trenerskiej?

GL: Żałuję, że nie zakończyłem kariery w drużynie, w której zawsze grałem. Jako trener za dużą uwagę przykładalem do uczciwości i nie zgadzałem się na pewne kompromisy. Po 15 lat doświadczeń w Serie C wygrałem ligę kilka razy. Otrzymałem też tytuł Seminatore d'oro [przyznawany przez FIGC trenerowi, który najbardziej wyróżnił się w danym sezonie – od red.] po wygraniu sezonu z Bari. Po takich chwilach, jeśli jednak nie jesteś związany z żadną grupą, trenowanie w Serie C stało się trudne. Czekałem, aż do mnie zadzwonią, i nie narzucałem się. W pewnym momencie zapytałem, czy mogę być użyteczny, bo jeśli nie, to zacznę pracować z dziećmi. I tak właśnie zrobiłem.

Jak ocenia Pan aktualną drużynę Romy i znane już kwestie związane z zarządem?

GL: Mam nadzieję, że Roma będzie dalej szła drogą, na jaką wprowadziła ją rodzina Sensich. Jesteśmy zespołem na pewnym poziomie. Roma weszła do grona najlepszych drużyn w Włoszech i w Europie dzięki temu zarządowi. Nie można

wszystkiego przekreślić przez nieudany rok. Roma ma wielkiego trenera, wielkich graczy, a kilka poważnych kontuzji wyhamowało ambicje Giallorossich. Ale mam nadzieję, że będą dalej szli tą drogą. Totti i De Rossi są najpiękniejszymi wytworami tego klubu i tego zespołu. Są nietykalni. To gracze, którzy założyli koszulkę Romy i opaskę kapitana, więc nie można ich poddać dyskusji.

Rozmawiał: Alessandro Proietti

Autor: kaisa